



PRACA nad sobą

APRIL WODYK MARAWICK

Zeszyt 3.

KRAKÓW, Sierpień 1997.r.

„A JEŻELI PRAWDZIWIE CZŁOWIEK TEN BYŁ SYNEM BOŻYM ?”

Na pytanie: jak żyć, do jakiego celu zmierzać, nie potrafię sobie odpowiedzieć bez uwzględnienia Boga.

Wierzę, że jest Bóg. Wiem, że był On przed światem i jest świata tego przyczyną. Wiem, że jest - określając ludzkim językiem - doskonały, choć to określenie nie przybliży mi istoty Jego możliwości i właściwości. Wiem, że jest jeden, ponieważ wynika to z zasady powszechnej przyczynowości.

Wiem, że jest On poza światem i ponad światem, jak twórca jest ponad tworzywem, które kształtuje. Jednocześnie jest wewnątrz świata, jak myśl programisty ożywa w skomplikowanych obwodach komputerów.

Czasem myślę: jeżeli jest nam tak bliski, to dlaczego nam się nie pokaże. Wtedy uwierzymy, opowiemy innym, na pewno nam uwierzą. Przecież byłoby to dla Jego dobra. Ludzie przestaliby się bić, kochaliby się wzajemnie. Niech się tylko pokaże. Mógłby nam dać jakiś wyraźny znak i wszyscy

uwierzylibyśmy. Musiałoby to być coś z naszej rzeczywistości, abyśmy mogli dostrzec, jednocześnie coś wykraczającego poza ustaloną rzeczywistość, abyśmy mieli pewność Jego ingerencji. On na pewno mógłby coś takiego zaaranżować.

Jednak rzeczywistość człowieka jest tylko wycinkiem rzeczywistości ogólnej. Określona jest wypadkową możliwości ludzkiego postrzegania. Teoria względności przekracza możliwości percepcji przeciętnego człowieka, równoważność materii i energii jest dla nas tylko teoretyczna, a o istnieniu liczb niewymiernych nie do końca jesteśmy przekonani. A przecież to wszystko funkcjonuje. Wątpliwości nasze wynikają z tego, że niektóre mechanizmy tego świata wymykają się spod kontroli naszych zmysłów.

Realność Boga natomiast jest jedyną realnością zupełną. Dzieląca nas przepaść utrudnia wzajemne kontakty. Odgłosy Boga mogą być przez nas niesłyszalne, a niektóre choć usłyszane, nigdy nie zostaną przez nas właściwie zinterpretowane.

Człowiek też mówi często do kwiatów „kocham was”, a one sobie spokojnie rosną, przekwitają, nie wiedząc o tym, że ktoś obok nich coś mówi. One żyją swoją realnością.

Mały byłby Bóg, gdyby się musiał przedstawiać każdemu z nas i udawać, że On jest On. Myślę, że dla niektórych okazałby się wtedy niewygodny, a jego natarczywość doprowadziłaby innych do znudzenia. A zresztą czy w historii nie było przypadków takich objawień? Zostały one zapisane w księgach. Powinniśmy wierzyć temu, co widziało wielu ludzi, a jeszcze więcej troszczyło się o to, aby te relacje przetrwały do naszych czasów.

Trudno się nam pogodzić z tym, że dowód nie będzie nam dany i pozostaniemy w sferze domniemań. A może nie jest tak źle? Człowiek, jeżeli chce, może poznawać Boga poprzez Jego dzieła, tak jak się poznaje rękę malarza po jego

obrazach. Jednak żeby zgłębić jakiś fenomen, trzeba wniknąć do istoty poznawanej, zespolic się z nią. I choć przedmiotem wiary nie są wypowiedzi na temat Boga, lecz sam Bóg poznany i umiłowany w osobistym kontakcie, to jednak dla mnie wiedza o Bogu i wiara nie mogą bez siebie istnieć.

Co wiem o Bogu? Wiem, że stworzył świat i człowieka. Wiem, że wbrew Jego woli żadne prawo nie doprowadziłoby do zaistnienia człowieka. Wiem, że chce dla mnie dobra. Gdyby chciał zła - nie byłoby mnie. Gdyby chciał zła dla ludzi - nie byłoby ludzi. Gdyby chciał zła dla świata - nie byłoby świata.

Wierzę w to, że Bóg czuwa nad człowiekiem. Żaden inteligentny konstruktor nie pozostawiłby swojej „maszyny” samej sobie bez wglądu w jej działanie. Upadek tak skonstruowanej społeczności byłby zawiniony przez konstruktora niedoskonałych stworzeń.

Wiem, że Bóg nie odebrał człowiekowi prawa podejmowania samodzielnych decyzji, nawet niewłaściwych. Inaczej każda katastrofa, każda wojna musiałaby być przez Stwórcę precyzyjnie zaplanowana co do czasu i zasięgu. Człowiek byłby marionetką szalonego konstruktora, który na dodatek karałby swoje marionetki i nagradzał za to, że wykonywały bezwolnie Jego zamysły.

Jedyną logiczną relacją jest współpraca człowieka z Bogiem w tworzeniu przyszłości. Problematiczne jest tylko kto jest kreatorem, a kto modyfikatorem rozwoju. Na pewno Bóg pozostawił sobie spory zakres ingerencji w ludzkie życie. Jednak nie martwię się tym, że jestem w pewien sposób ograniczony. Nasza wola jest w ogromnym stopniu uwarunkowana genetycznie, społecznie, a więc również przez czas i miejsce zaistnienia mojej osoby. Stwierdzam, że jestem jednostką samookreślającą się dopiero na takiej bazie. Nigdy więc nie wymażemy wpływu korzeni z których wyrosliśmy.

Wolę jednak, że się nie trzeba obawiać ewentualnego wpływu

Opatrzności, czyli inunaczej wpływu świata, który nas wykreował. Wierzę, że otrzymam od Boga taką część zadań na jaką sobie zasłużyłem i na taką ingerencję, choć może ograniczającą moją wolę, daję mu pełne przyzwolenie. Nawet będąc bezwolnym narzędziem w ręku Boga będę nadal sobą, bo Jego cele będą moimi celami. I tylko od nas zależy na ile się otworzymy na tę współpracę. W ten sposób Bóg stawiając człowieka w konkretnym miejscu w świecie wypełnia to miejsce sobą. Dla mnie jest to definicją relacji Boga do świata i człowieka.

Określenie takie jest jednak dość płytkie, powstałe tylko z obserwacji świata i logicznych konsekwencji. A przecież Bóg ułatwił nam poznanie dając na przestrzeni dziejów dowody Swego istnienia, jak również objawiając zasady, którymi się kieruje On sam oraz którymi się powinien kierować człowiek.

Czasem opisy takich wydarzeń poparte są obecnością wielu świadków oraz znajdują potwierdzenie w dokumentach historycznych. Czasem - dotyczą wyłącznie jednej, wybranej osoby. Wszystkie razem wskazują kierunek ewolucji moralnej człowieka od prawa nieproporcjonalnej zemsty, poprzez prawo równorzędnego odwetu do prawa miłości bliźniego. Wszystkie również nie pozostawiają wątpliwości kto jest autorem przekazywanych sugestii. I choć się w Starym Testamencie czasem mieszają narodowe zwyczaje Żydów z boską wizją człowieka, to jednak łatwo odnaleźć na przestrzeni dziejów konsekwentnie korygowany kierunek rozwoju człowieka, czego uwieńczeniem stały się nauki Jezusa. Istnienie Jezusa i charakter jego działalności stało się dla nas - dzięki wielu dokumentom - faktem historycznym, tak jak życie cesarzy rzymskich, czy filozofów greckich. Wiemy skąd pochodził, kiedy żył, na czym polegała Jego nauka oraz jak umarł. Jednak z dokumentów nie dowiemy się czemu tak żył. Możemy to

jednak odczytać ze wspomnień Jego uczniów i przyjaciół. Wiemy z ich relacji, że Jezus znalazł drogę, którą podążał. Znalazł przeszłość, przyszłość, przenikał najskrytsze tajemnice ludzkich serc. Wiemy, że całe Jego życie było spełnieniem Bożej woli, poświęcone przekazywaniu ludziom nauk, konsekwentnie kierowane ku śmierci krzyżowej.

Ponieważ jest niemożliwe, aby Jezus mógł świadomie iść na męczeńską śmierć za kłamstwo, trzeba przyjąć, że Jego słowa były prawdziwe. Tylko wtedy jego misja spina się w logiczną całość. A misją tą było przyniesienie szczególnego daru - impulsu do rozwinięcia miłości Boga i Bliźniego. Jak niecodzienny był to dar, widzimy na kartach Nowego Testamentu. Ludzie współcześni zaszokowani są zarówno Jego nauką o Bogu jak i wezwaniami do nowych celów życia. I choć niektóre z nich zdawałyby się niemożliwe do osiągnięcia, to jednak znajdują przykład w codziennym życiu Jezusa, przez co nabierają praktycznego wymiaru.

Wielu ze współczesnych podążyło śladem Jezusa, dzięki czemu mogli się więcej dowiedzieć i lepiej Go poznać. Oni nie potrzebowali dużo czasu, aby nabrać pewności, że Jezus jest synem Boga Żywego. Wiedzieli również, że poznając Jezusa poznają samego Boga, że tego Ojca i Syna poprostu łączy wszystko.

Co wynika dla mnie z wiedzy o tamtych czasach? Myślę, że u każdego człowieka, który przestudiował życie Jezusa musi się obudzić wiara. I to nie wiara w sensie przynależności do pewnej grupy, ale wiara poparta przeświadczeniem, a często doświadczeniem Boga w codziennym życiu. Nie można bowiem uwierzyć w Boga, a następnie przejść do innego, „ciekawszego” tematu. Kto uwierzył w Boga, ten się już Go nie pozbędzie ze swojego życia.

Przynależność do Boga to nie zapisanie się do partii lub jej zmiana w zależności od koniunktury. To piętno odcisnięte na każdej minucie życia niezależnie od wieku, płci, zawodu czy narodowości.

W Boga nie można wierzyć do połowy. Jeśli ktoś tak sądzi - sam siebie oszukuje. Nie wystarczy więc tylko prosić Maryję i Jezusa o wstawiennictwo, o zdrowie, o pomysłowość w życiu licząc, że dzięki takim protekcjom można zasłużyć na Boże miłosierdzie. Powinniśmy przede wszystkim poznawać Boga i Jego zamiary. Jest to droga bez końca, ponieważ im dalej człowiek zajdzie, tym przestrzeń poznania będzie się rozszerzać. Nie można się jednak zniechęcać. Wiemy, że Bóg chce abyśmy się zbawili. Sam nam to powiedział ustami podobnymi do naszych. Może dla niektórych jest to niewystarczające, ale innej mowy byśmy nie zrozumieli. Mówi do nas również i dziś; uczy, ostrzega drażni, tylko że rzadko umiemy to dostrzec.

Żeby go usłyszeć trzeba się zdobyć na chwilowe wyciszenie odgłosów tego świata. Okaze się, że poprzez każde uderzenie serca Bóg mówi do nas: „Jestem-Jestem-Jestem”. Jest w każdym z nas i powinniśmy mieć pełną świadomość tego, że na Jego podobieństwo wyposażeni jesteśmy w naturę wyższą dającą władzę nad światem. Władzę, ale i odpowiedzialność. A więc **zaprzestanie pracy nad swoim rozwojem, brak zgody na nasze wsrastanie jest wykroczeniem przeciwko Jego woli.** Wierzącego poznaje się nie po deklaracjach, lecz po tym co robi, czym jest wypełnione jego życie. Biblia uczy **„Kto...umie dobrze czynić, a nie czyni, dopuszcza się grzechu”** (Jakub 4;17), odpowiadam więc za każdą niewykorzystaną, pustą minutę życia.

A więc co mam robić? Jezus odpowiedział na to pytanie: kochać Boga i bliźniego. A bliźni to nasz sąsiad, który

też jest obrazem Boga, to współpasażer autobusu, to miliony potrzebujących pragnących chleba, pomocy, dobrego słowa.

Na przestrzeni dziejów, a również naszej chrześcijańskiej epoki kierowaliśmy się różnymi zasadami społecznymi, ale wszystkie się okazywały nieskuteczne, niesprawiedliwe, niedoskonałe. Wydaje się po dwu tysiącleciach nieudanych prób, że Jezusowa idea miłości, choć trudna do urzeczywistnienia pozostała jedyną możliwą propozycją przetrwania i rozwoju ludzkości.

I myślę, że to jest nasze zadanie. Nie znaczy to, że każdy musi naprawiać cały świat. Zacząć trzeba od siebie, rozpoznać co jest od nas niezależne, a co możemy zmienić.

To nieprawda, że dziś nie mamy no to czasu. Można się modlić przez naukę, mycie naczyń czy pranie pieluch. A można również myć i prać tylko po to aby osiągnąć zewnętrzną efekt. Tak można tylko przegrać życie. Problem nie tkwi więc w długości dnia i ilości zajęć, ale w tym, czy Bóg jest w tych zajęciach obecny, czy kontakt z drugim człowiekiem wypełniony jest miłością.

Będziemy wtedy ty i ja innymi ludźmi? Nie ma się czego wstydzić. Módlmy się, aby nasza inność promieniowała na otoczenie. Każda iskierka miłości z Twojej strony niech się połączy z moją iskierką. Razem stworzymy ogień!

Marek Suder

Zamieszczony tu artykuł Marka Sudera jest rozwinięciem i uzupełnieniem jego rozważań z poprzedniego zeszytu. Jest tu pokazana jedna z indywidualnych dróg myślowych prowadzących do Boga. A jak ty odczuwasz swoją drogę? W czym jest podobna do przedstawionej tutaj, w czym różna? Napisz do nas. Chętnie zamieścimy.

Najbliższy, to jest czwarty zeszyt naszego pisma
będzie poświęcony w całości
nowoodnalezionym
trzem listom Mateczki
do O. Honorata

Kim jest mariawita nie posiadający wiary?

Zacznijmy od słów św. Jakuba Apostoła (2,5)
„Posłuchajcie moi mili bracia, czyż nie ubogich na tym świecie obrał Bóg, aby byli bogatymi w wierze i dziedzicami tego królestwa, które obiecał Bóg tym, którzy Go miłują?”
Kogo Chrystus wybiera aby się stał bogatym w wierze, tego zarazem wzywa, aby opuściwszy wszystko poszedł za nim, czyli stał się ubogim według świata. Wiara i miłość otwierają wtedy przed nim znacznie większe bogactwa królestwa niebieskiego.

A jak to bywa dziś z wiarą? Już dawno Duńczyk Kierkegaard pisał: *„Od dłuższego czasu jest za mało wiary w świecie i dlatego ona nie może poruszyć świata”*. Dziś ten zanik staje się coraz bardziej widoczny tak u jednostek, jak i społeczeństw. Opowiadają o kapłanie, który umierając powiedział spowiednikowi, że chrześcijaństwo jest piękne, ale *„jest tylko legendą i poezją”*. Inny w podobnej sytuacji wyraził niewiarę w rzeczywiste istnienie nieba. Pewien rektor diecezjalnego seminarium duchownego jednego z wielkich wyznań religijnych w Polsce wyznał niedawno, że jego zdaniem życie po śmierci jest tylko metaforą. Nic więc dziwnego, że w tej sytuacji wzrasta kult przywódców i ideologii będących w jawnej, lub - co gorsza - w ukrytej sprzeczności z wartościami chrześcijańskimi.

Zanik wiary w świecie jest faktem, ale mariawita nie może się dać unieść temu prądowi. To właśnie w nim wiara powinna być żywa i gorąca, a przez niego ma się szerzyć dalej. Mariawici - nie tylko duchowni - zostali do tego właśnie powołani. To powołanie pozwala się nam całym zanurzyć poprzez medytację eucharystyczną - poprzez rozmyślenia adoracyjne - w tajemnicę Boga, a potem zabiegać o to, aby „zachować tajemnicę wiary w czystym sumieniu” (1.Tym. 3,9). W przeszłości wiara duchownych i świeckich mariawitów tak mocno oddziaływała, że wpływała na kształtowanie życia i świętości bardzo wielu chrześcijan. Jest to możliwe i dzisiaj. Każdy, kto żyje wiarą, uczestniczy w bogactwach nadprzyrodzonych, a będąc posłusznym natchnieniom łaski, już przez to samo staje się misjonarzem, nawet o tym nie wiedząc. Znamię duchowej pieczęci odciska się na jego naturalnej apostołskiej działalności.

Jeśli czujemy, że życie tylko sprawami tego świata nie daje nam pełnego zadowolenia, to nie bójmy się przyjąć odważnie do naszej świadomości realności istnienia światów duchowych, wzbudźmy w sobie wiarę i zaufajmy jej, bo nasze dalsze życie pozbawione wiary nie ma już wtedy sensu.

Chrześcijanin słabej, powierzchownej wiary, a tym bardziej w ogóle nie posiadający wiary, nie może zrozumieć sam siebie, a tym bardziej skutecznie oddziaływać na innych. Być formalnie chrześcijaninem, a nie mieć wiary pozbawia nas siły i radości i sprawia, że się stajemy, jak mówi św. Paweł (1.Kor. 15,19) „bardziej od wszystkich ludzi godni politowania”.

opracował *brat T.M.*

SPROSTOWANIE

W poprzednim, trzecim zeszycie naszego pisma zamieściliśmy artykuł brata Ignacego Stobieckiego „Wiersz natchniony”, w rękopisie tego artykułu było napisane „do wiersza br. kpl. Tadeusza br. Bazyli Furmanik napisał melodię...”. Adjustując tekst w redakcji, bez namysłu dopisaliśmy z szacunkiem literę „M.” przed imieniem „Bazyli”, w przekonaniu, że mowa tu o ś.p. bracie kapłanie Marii Bazylim Furmaniku. Okazało się, że nic nas nie upoważniało do takiej interpretacji. Autor miał tu na myśli nie ś.p. kapłana, lecz jego syna, żyjącego i grywającego w Warszawie na organach, o którym takeśmy zapomnieli, żeśmy się nawet nie zwrócili do niego z prośbą o wyrażenie zgody na opublikowanie tej kompozycji. Nasz błąd zauważyło kilka osób. Wywiązała się wielostronna korespondencja...

Brata Ignacego Stobieckiego przepraszamy za błędną ingerencję w jego tekst, a brata Bazylego Furmanika zarówno przepraszamy za przykrą pomyłkę jak i dziękujemy zarazem serdecznie za wyrażenie *post factum* zgody na publikację jego kompozycji.

Naszych prenumeratorów prosimy zaś aby w 2. zeszycie naszego czasopisma na str. 5. w wierszu 3. od góry skreślili literę „M.” przed imieniem „Bazyli”, zaś na str.20. po słowie „Muzyka:” zamiast „br. kpl. M. Bazyli” napisali „Bazyli Furmanik”

E L E U S I S

Różne były przyczyny, które powodowały załamanie się Kościoła Rzymskokatolickiego na ziemiach należących do Polski przedrozbiorowej, a które pod koniec XIX wieku znalazły się w granicach trzech państw zaborczych. Upadek ten dotyczył tak struktur organizacyjnych jak i życia religijno-duchowego. Fakt ten tłumaczy się różnie, a oficjalna nauka kościelna powołuje się przy ocenie tego zjawiska między innymi na politykę

zaberców, którzy widząc w katolicyzmie ostoję polskości, podkopywali na terenach polskich Kościół Rzymski pragnąc jego wydatnego osłabienia. Takie osłabienie miało stanowić drogę do zafarcia polskości w rzeszach wiernych. Nie oceniając całości przyczyn upadku organizacyjnego i duchowego tego kościoła we wszystkich zaborach, należy podkreślić, że przyczyna podana wyżej jest dla rzymskiego katolicyzmu najbardziej strawna. Głosiciele tej teorii nie biorą pod uwagę, że Kościół Rzymskokatolicki realizując w ramach polskiej państwowości przedrozbiorowej cele polityki watykańskiej, ponadnarodowościowej, przywykł do zajmowania pozycji naczelnej w państwie polskim. W nowej sytuacji, stworzonej po rozbiorach w XVIII wieku, z wielką trudnością odnajdywał swoje miejsce w publicznym życiu na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej. Rozziew między nauką a praktyką kościelną, upadki powstań narodowych, okopanie się przez Kościół na pozycjach zachowawczych, nie zawsze zgodnych tak z duchem czasu, jak i z trendami myśli niepodległościowej - wszystko to prowadziło do wielkiego kryzysu moralnego w społeczeństwie polskim.

Próby znalezienia wyjścia z impasu moralnego, między innymi, podejmował na początku XX wieku w Krakowie profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego Wincenty Lutosławski. Rozpoczął je od roku 1900 i często budziły one niepokój lub nawet, ze względu na ich ekscentryczność, ostry sprzeciw. Rzucił hasło wychowania narodowego, przeciwstawiał się propagandzie zaborczej i wszystkim, którzy szukali za wszelką cenę porozumienia z zaborcami. Propagował także odnowienie duchowe społeczeństwa widząc w rzetelnej religijności sposób na naprawę ducha narodowego.

Wiele z prób prof. Lutosławskiego nie wyszło poza teorię. Jednak w styczniu 1903. roku udało się profesorowi założyć młodzieżowe Towarzystwo Elsów skupione wokół

czsopisma ELEUSIS, skąd czasem całość tych poczynań zwano ruchem Eleusis. Należało do niego grono młodej inteligencji polskiej z Galicji (zabór austriacki) rekrutującej się z młodzieży jeszcze się uczącej, lub już pracującej. Prof. Lutosławski pisząc o początkach Eleusis stwierdzał, że poznał „*przykrą zgrzybiałość ducha, zwątpienie, brak ognia i zapachu, brak wiary w Boga i Ojczyznę*”. I dalej można cytować słowa prof. Lutosławskiego: „*Poznałem cierpienie dziwne tych młodych dusz, łaknących prawdy, a krążących w błędnym kole uprzedzeń narzuconych im przez otoczenie - pragnących dobra, a nie wiedzących, do jakiego czynu rękę przyłożyć*”. Uczestnicy grupy Eleusis mieli realizować założone zadania przez ćwiczenia psycho-fizyczne, a także przez kulturę religijną, przez rygor ascetyczny, walkę z namiętnościami na drodze poczwórnej wstrzeмиęźliwości, przez: wytrwałość w modlitwie, posty, przez codzienną Komunię Świętą i czujne co wieczór obrachunki z sumieniem. Tak po latach streszczał zasady ruchu Eleusis członek tego ugrupowania, znany polonista, prof. Stanisław Pigoń z Krakowa. Członkowie ruchu przez codzienne przyjmowanie Komunii Świętej i wysłuchiwanie nad. prof. Lutosławskiego poddawali całe swoje życie określonym rygorom wynikającym z faktu stałego jednoczenia się z Bogiem w Eucharystii. Grupa Eleusis dzieliła się jakby na dwa człony: ludzi uczestniczących w zwykłych praktykach doskonalących oraz na głębiej zaangażowanych w doskonalenie się przez ścisłą ascezę i wyteżoną pracę duchową. Członkowie Eleusis uznawali jednak, że praktyki te nie miały prowadzić do życia typu klauzurowego, oderwanego od codzienności. Miała to bowiem być religijność stosowana, za cel miała nie tylko służbę Bogu, ale i udoskonalanie swej jaźni, „*nie tyle ukorzenie się, ile wyrośnięcie przed Panem*”.

Członkowie stowarzyszenia powstrzymywali się od palenia tytoniu i używania alkoholu. Ćwiczyli także śmiało pod

względem wytrzymałości fizycznej. Wśród uczestników spotkań „elsowych” panował kult poezji i literatury, szczególnie kult polskich wieszczów jako przewodników duchowych. Wychwytywano wątki mistyczne w wielkiej polskiej poezji romantycznej i rozwijano teorie polskiego mesjanizmu. Prof. Lutosławski, jako przewodnik elsów ciągle podkreślał wagę modlitwy i pracy nad sobą. Przestrzegał też przed niewłaściwym pojmowaniem roli modlitwy pisząc, że *„modlą się ludzie do Boga czasami o zdrowie, częściej o majątek, czasem o odwrócenie pokus - ale o zdobycie nowych, wyższych mocy, większych uzdolnień mało kto się modli”*.

Ruch Eleusis w swym działaniu nie spotkał się z pomocą hierarchii kościelnej. Rozwijał się on jakiś czas na Śląsku, a także w Poznańskim, w Westfalii i na Pomorzu w środowisku polskich robotników. Władze pruskie widziały w tym ruchu niebezpieczeństwo polonizacji i zdusiły wykształcone już w zaborze pruskim komórki organizacyjne. Nie powiodła się też próba rozszerzenia organizacji na teren zaboru rosyjskiego. Możliwe, że na negatywny osąd tego ruchu w tym zaborze miała wpływ walka Kościoła Rzymsko-katolickiego z ruchem mariawickim. Wiele bowiem z idei głoszonych przez tę nutę pokrywało się ze sobą.

Byłoby błędem merytorycznym, aby z faktu zaistnienia ruchu Eleusis wyciągać wnioski o dalej idących powiązaniach z ruchem mariawickim. Oba ruchy istniały niezależnie od siebie, choć nie można nie zauważyć wielu łączących ich, wspólnych cech. Zasady pracy nad sobą, częsta modlitwa, codzienna - w miarę możliwości - Komunia Święta, pokuta i życie w otoczce religijności świadczyły o bliskim pokrewieństwie idei. Nie stanowiły jednak ich jedności.

Nie można natomiast pominąć jednej, ważnej sprawy związanej z ruchem Eleusis. Idee głoszone w publicznej działalności przez elsów czy to w formie odczytów, czy

wykładów uniwersyteckich stały się przyczyną, dla której określona grupa ludzi młodych znalazła się w ruchu mariawickim. Szczególnie dotyczy to kilku późniejszych sióstr zakonnych - nauczycielek, które mając intelektualny kontakt z elsami odkryły w sobie powołanie i wstąpiły do klasztoru w Płocku. Także idee mesjanizmu polskiego głoszone oficjalnie przez mariawitów czerpały z prac elsów zajmujących potem katedry uniwersyteckie (Kraków, Wilno). Próby duchownych mariawickich zmiarzące do nawiązania bliskich kontaktów z byłymi elsami nie dały rezultatu. Można przypuszczać, że akcja antymariawicka prowadzona w Polsce szczególnie intensywnie po roku 1922 miała na to niebagatelny wpływ. Sprawy te wymagają jednak oddzielnych badań.

Oceniając ruch Eleusis należy zwrócić bezwzględnie uwagę na istotną okoliczność. Oto na przelomie wieków XIX i XX na ziemiach polskich, choć pod zaborami, powstają niezależnie od siebie ruchy zmiarzące do naprawy sumień i serc ludzkich. Ratunek widziano w modlitwie, pracy nad sobą oraz w uświadomieniu sobie roli człowieka na ziemi i jego zależności od Boga. Bez starań o „uświęcenie się na ziemi”, bez pracy nad sobą nie widziano przyszłości człowieka. Jeżeli Matce Marii Franciszce Kozłowskiej Bóg pozwolił zrozumieć powyższe prawdy w objawieniu, to założyciel Eleusis uznał - pewnie też pod wpływem Bożego natchnienia - że człowiek doszedł w życiu do określonego miejsca i musi sobie zdać sprawę z tego, że *„my wszyscy tu jeno w przelocie jesteśmy, z łona Bożego wyszliśmy jako aniołowie przed wiekami, a tylko chwilowo tu na ziemi bytujemy, pokutę czyniąc, wypracowując utracone anielstwo...”*.

Ruchy te jednak w oficjalnym kościele uznania nie znalazły.

Ignacy Stobiecki

O REFORMACH LITURGICZNYCH

Przeżywamy właśnie modę na reformy liturgiczne. Tylko nieliczne kościoły - na przykład prawosławny - zdołały się od tej mody uchronić i pozostać przy dawnych obrzędach. W liturgii obu istniejących w Polsce kościołów mariawickich nie wprowadzono wprawdzie w ostatnich czasach istotnych zmian oficjalnie, ale niektórzy kapłani czasem odprawiając nie trzymają się przepisanego porządku, lecz wprowadzają zmiany, dodatki i opuszczenia na własną odpowiedzialność. Sprawa dojrzała więc do zastanowienia się nad tym, czym są ustalone obrzędy, co i komu w nich wolno i warto zmieniać.

Aktywność duchowa człowieka sprowadza się do dwu dziedzin. Pierwsza - to osobista modlitwa i adoracja Boga. Nie ma tu ścisłych, ustalonych form. Każdy i w każdej chwili może się modlić jak chce i potrafi. Również pewne nabożeństwa zbiorowe mają charakter wyłącznie modlitw osobistych choć zanoszonych w jednym czasie i miejscu przez wielu. Takie są na przykład uprawiane w wielu wyznaniach piegrzymki piesze, a w mariawityźmie taką jest adoracja Przenajświętszego Sakramentu. Istnieją tu wprawdzie pewne zwyczaje, ale w zasadzie każdą zarówno indywidualną jak i wspólną godzinę adoracyjną można formować dowolnie. Są to nabożeństwa aliturgiczne. Idzie w nich o wzbudzenie w duszach uczestników pobożnych uczuć, woli uwielbienia i chęci wynagrodzenia za innych - i o nic więcej. (pisząc 'nic więcej' nie chcę przez to bynajmniej powiedzieć, że to mało.)

Drugą, odmienną dziedziną jest liturgia. Widząc różnorodność obrządków chrześcijańskich w samych tylko kościołach tradycyjnych, ktoś mógłby sądzić, że ze wszystkimi nabożeństwami jest podobnie jak z godzinami adoracyjnymi, że pierwotnie były one kształtowane według swobodnej fantazji

odprawiających, a dopiero potem ustaliły się ich formy określone prosto narastającą tradycją.

Zastanówmy się jednak, czy we Mszy Świętej idzie nam tylko o to aby wzbudzić w nas pobożne myśli? Czy chrzcząc dziecko jest naszym celem wzbudzenie takichże myśli i nastrojów w duszy tegoż dziecka, lub może rodziców chrzestnych? Czy w święceniach kapłańskich idzie nam przede wszystkim o piękne przeżycia religijne święconych? Nie! We wspomnianych tu i wielu innych rytuałach kościelnych idzie nam o stworzenie pewnej rzeczywistości duchowej w otaczającym świecie fizycznym. Nie tylko pragniemy w czasie tych obrzędów przeżyć pobożne myśli ale chcemy przede wszystkim aby we Mszy Świętej opłatek i sok winnych jagód połączyły się istotnie z naturą Chrystusa, aby w duszy chrzczonego dziecka zaistniały realne zmiany ułatwiające mu zbawienie, chcemy aby wyświęcony kapłan mógł w przyszłości sprawować z mocą czynności sakralne. Jeśli chcemy coś uzyskać, musimy znaleźć właściwe środki po temu.

Tak jak istnieje wiele różnych liturgii, tak istnieje wiele zupełnie różnych konstrukcji mostów. Ale z tego nikt nie wyciąga wniosku, że most można zbudować byle jak, aby był ładny i estetyczny. Przepiękny most zaprojektowany - obojętne - przez genialnego poetę czy skrupulatnego księgowego zapewne się zawali. Owszem zdarza się, że amator, co nie studiował praw statyki ani wytrzymałości potrafi „na wyczucie” zbudować mały mosteczek, a nawet większy mostek, który stoi mocno i dobrze służy swojemu celowi. Ale na ogół, jak kto chce zbudować most, to albo poleca wykonanie odpowiednich planów znawcy inżynieryjnej rzeczywistości. albo - co jest częste przy budowie małych mostków - korzysta z gotowych schematów budowy.

Rzeczywiście, w pierwotnym chrześcijaństwie gotowe schematy obrzędów sakralnych nie istniały. Ale istnieli znawcy

rzeczywistości duchowej - apostołowie, prorocy, mistrzowie życia wewnętrznego. Takimi byli ówczesni kierownicy Kościoła i oni improwizowali obrzędy kościelne. A jeśli do lokalnej gminy chrześcijańskiej nie przyszedł żaden apostoł, ani prorok, wtedy miejscowy biskup, mający ważne święcenia przypominał sobie, jak to sprawowali obrzędy jego święci nauczyciele i według ich „schematu” (dziś powiedzielibyśmy: według ich obrządku) odważał się sam z wiarą sprawować święte czynności. Tak powstały schematy rytuałów pielęgnowane w kościołach aż do niedawnych czasów. Pisz o tym w znakomity sposób ś.p. ks. prof. Jerzy Klinger w swojej książce „Geneza Sporu o Epiklezę”¹, którą powinien poznać każdy człowiek interesujący się liturgiką.

Gdy weźmiemy jakikolwiek zbiór tradycyjnych schematów mszalnych na przykład „Wieczerzę Mistyczną” ks. Henryka Paprockiego² to zauważymy, że noszą one nazwy różnych, przeważnie wielkich, świętych. To właśnie na podstawie tradycji owych „budowniczych mostów między ziemią i niebem” budowano te poszczególne anafory mszalne i obrządki. Mało kto z nas wie, że najczęściej odprawiana mariawicka, liturgiczna Msza Święta, która została wzięta z liturgii łacińskiej i przetłumaczona na języki narodowe, też ma swoją odrębną nazwę wziętą od apostoła. Nazywa się ją w Kościele Powszechnym liturgią św. Piotra, bo z jego tradycji ona pochodzi.

Przez długie wieki zmieniać te tradycyjne schematy odważali się tylko ci, co mieli otwarty wzrok duchowy i widzieli jakie realne skutki w wyższych sferach wywołuje dany gest lub słowo odprawiającego kapłana. A zmieniali je tylko wtedy, kiedy to było konieczne ze względu na ewolucyjne zmiany ludzkości lub szczególne okoliczności zewnętrzne.

W czasach przed reformacją, kiedy wewnątrz Kościoła Rzymskokatolickiego panowało ogólne rozprężenie, liczni biskupi i księża wprowadzali niczym niekontrolowane zmiany do odprawianej przez siebie liturgii mszalnej św. Piotra i innych nabożeństw. Konieczną w tych warunkach reformą liturgiczną zajął się Sobór Trydencki tegoż kościoła (1545 - 1563). Wśród ojców soboru nie było wtedy ludzi o otwartym wzroku duchowym, więc się słusznie ograniczono do usunięcia różnorodności i do oparcia jednorodności na najlepszych źródłach zaczerpniętych z wiarygodnej tradycji.

Przebiegające dziś w wielu kościołach zachodnich reformy liturgiczne rzadko się opierają o widzenie spraw duchowych, o realną „inżynierię niebieską”. „Reformy” przeprowadzają „duchowi poeci”, a częściej „duchowi księgowi”. Wprowadza się zmiany, aby uczynić nabożeństwo ładniejszym, lepiej przypadającym do gustu jego uczestnikom, łatwiej zrozumiałym (jakby sprawy duchowe w ogóle mogły być łatwo zrozumiałe!) i t. p. W wielu przypadkach niechcący wyeliminowano w ten sposób istotne działania duchowe. Tak na przykład tu i ówdzie usunięto ze Mszy Świętej gesty i słowa ofiarowania ziemskiego jeszcze chleba i wina - jakże ważnego z punktu widzenia działań anielskich, a w innych - co gorsza - zlikwidowano słowa i gesty ofiarowania nad pokonsekrowanymi już, przemienionymi postaciami eucharystycznymi, zapominając, że Msza Święta jest uobecnieniem ofiary nie tylko chleba i wina lecz samego Chrystusa. W tak odprawianej liturgii nie ma już zastępczego, pełnego miłosierdzia ofiarowania się Chrystusa za nas. Te nabożeństwa nie nawiązują więc do Miłosierdzia Bożego. Ich uczestnicy sami o tym często nie wiedząc, są konfrontowani z konieczności z Bożą Sprawiedliwością.

O przyszłym ustawianiu działań mszalnych w kościołach

Wprowadzenie do liturgii eucharystycznej Chrystusa na ofiarę.

wiedziała i podała nam do wiadomości z Bożego objawienia nasza Mateczka³. Obecnie widzimy kolejne wypełniane tych objawień. Dzieje się to - oprócz innych przyczyn - również wskutek beztróskich zmian liturgicznych.

* * *

Przy najlepiej ustawionej liturgii zdarzają się kapłanowi mimowolne pomyłki. Zapomni wypowiedzieć pewnych słów, wykonać pewnych gestów, a już jakże często do głowy kapłana wpadają zbędne i obce myśli i sakralne słowa wypowiada bezmyślnie. Jeśli dzieje się to tylko z ludzkiej słabości, nie z lekceważenia - aniołowie dopełniają to, czego zaniedba kapłan. Można powiedzieć więcej, kapłan nigdy nie jest w stanie idealnie odprawić jakiegokolwiek obrzędu, dlatego udział aniołów jest przy tym zawsze potrzebny. Po to się właśnie łączymy z chórami anielskimi w trzykrotnym „Święty” po prefacji. Ale co mają zrobić aniołowie, gdy kapłan odprawia nie zważając na rytuał? Wtedy, gdy on popada w bezmyślność oni nie są w stanie przeniknąć jego intencji.

* * *

Słusznie się powiada, że życie liturgiczne nie jest konieczne do zbawienia. Spowiadając się we własnej duszy szczerze, indywidualnie przed Bogiem otrzymujemy odpuszczenie grzechów. Podobnie, bez przepisanych obrzędów liturgicznych możemy przyjąć realnie Komunię Świętą czy inny sakrament. Chrzest z pragnienia - to przecież dobrze znany termin teologiczny. Idzie tylko o to, że wtedy to wszystko dzieje się na własną odpowiedzialność człowieka i w tej mierze, w jakiej jego rozum, uczucie i wola potrafią się kierować ku Bogu. Jeśli kto potrafi z taką wiarą, jaką mieli święci apostołowie, w

pełnej koncentracji i świadomości tego, co czyni, odprawić Mszę Świętą - może ją odprawić poza wszystkimi schematami liturgicznymi i będzie ona godna i ważna. Kto widzi wyraźnie duchowe dzianie się, może reformować obrzędy stare i tworzyć zupełnie nowe. Tym jednak, co nie mają tak wielkiej wiary i tak jasnego widzenia ducha, należy raczej uczestniczyć i odprawiać zgodnie z wypróbowanymi wzorcami liturgicznymi.

brat Paweł.

¹ Klinger, J. - Geneza sporu o epiklezę - Chrześcijańska Akademia Teologiczna, Warszawa 1969.

² Paprocki, H. - Wieczera Mistyczna - Anafory eucharystyczne chrześcijańskiego Wschodu - Pax, Warszawa 1988.

³ „Notatki z objawień Mateczki z Roku Jubileuszowego 1918”, akapit 6. (w wydaniu objawień z lat 1922. i 1927 - str. 78, z roku 1967. - str. 87, z roku 1995. - str. 109.)

PRACA nad sobą - aperiodyk mariawicki. Ukazuje się nieregularnie, w miarę napływu materiałów,, na prawach rękopisu. Wydaje: Zgromadzenie Mariawitów. Redaguje: kolegium. Redaktor wykonawczy: brat M.Paweł Rudnicki. Za treść artykułów odpowiadają autorzy; nie musi ona odzwierciedlać przekonań redakcji. Adres redakcji i administracji: ul. Św. Sebastiana 10 m.14 - 31-049 Kraków. Pismo jest do nabycia tylko w drodze prenumeraty. Prenumerata wraz z kosztami przesyłki pocztowej obejmująca dowolne cztery kolejne zeszyty wynosi 10 zł. Należność należy przysłać *wyłącznie* listem w postaci drobnych znaczków pocztowych (po 1 zł. lub mniej) podając dokładny adres nadawcy oraz numer zeszytu od którego mamy rozpocząć wysyłkę (np. od 3. lub od 4.), Można też prenumeratę opłacić osobiście w redakcji.. Podana tu wysokość prenumeraty obowiązuje w ciągu trzech miesięcy od miesiąca ukazania się tego zeszytu i następnie może ulec zmianie wskutek wzrostu cen papieru, powielania, lub opłat pocztowych. Osoby, które opłaciły już prenumeratę, otrzymają jednak opłacone przez siebie zeszyty bez dopłaty. Wysokość prenumeraty zagranicznej zalemie od kraju i żądanego sposobu przesyłania (poczta zwykła lub lotnicza) - podajemy indywidualnie na zapytanie.}}